

Nigdziegęsci

SOLENOPSIS

Andrzej M. Baczewski



Andrzej M. Baczewski
„Nigdziegęści: Selenopsis”

Copyright © by Andrzej M. Baczewski, 2014
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Studio Graficzne Cydrus
Ilustracje: Studio Graficzne Cydrus
Redakcja i korekta: Agnieszka Pawlikowska

ISBN: 978-83-7900-328-0

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

*Serdeczne podziękowania dla dwóch osób
wspierających proces tworzenia: mojej córki
Katarzyny oraz cierpliwego recenzenta
Andrzeja Witowskiego.*

Nie ma znaczenia, w jakiej, klejności napiszemy
literę wewnątrz wryzu, blye tylko pirwesa
i odstaina lreita blyy na soiwch mijsecach.
A dzieje się tak dlteago, że nie czytamy kżdaej
z lteir odelndziie, ale wrayz jkao cłoać.
Nigdziezégstego też ropozznasz tyklo wedty, gdy
ogaiernsz caość.
Al Mill

Spis treści

ROZDZIAŁ I	
ROZPOZNANIE.	7
ROZDZIAŁ II	
BITWA NA PUSTYNI	39
ROZDZIAŁ III	
TWIERDZA	59
ROZDZIAŁ IV	
WOJNA Z CESARSTWEM HAMIRU	79
ROZDZIAŁ V	
K'OOPO YALE I BRAMA WYBRAŃCÓW.	113

Nigdziegęści to elitarna formacja sił specjalnych do zwalczania zorganizowanej przestępczości w świecie wirtualnym. Została podstępnie wciągnięta do świata gier, opanowana przez wirusy, ale jej zadania w światach gier wcale się nie zmieniły. Ma teraz chronić wirusy, które z ludzkimi duszami żyją jako czarnodzieje w światach tworzonych przez Wielkiego Bela Zurwana. Tworzy on światy z regułami średniowiecza, gdzie czarnodzieje, często walcząc między sobą, sprawują różne funkcje i zdobywają królestwa. Na jednym ze światów – planecie Alekanda – Nigdziegęści natrafiają na nowych przeciwników.



Rozdział I

Rozpoznanie

– Proszę cię, Al Millu. Przydziel mi okarynę i pozwól przenieść się do tego świata. Otrzymaliśmy wyraźny sygnał od mojej siostry bliźniaczki, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo – prosi S3ga, asystentka Wielkiego Bela Zurwana.

– Wiesz przecież, że nie mamy jeszcze stuprocentowej dokładności i możesz wylądować w jakimś niebezpiecznym miejscu.

– Dla siostry muszę zaryzykować – nalega S3ga.

– Nie musisz, bo już wcześniej wysłałem tam Zielarkę, a zaraz dołączy do niej inny Nigdziegęsty. Pamiętacie Phiatyla? Już zakończyłem przygotowania do jego ponownego wybudzenia. Właśnie on został tam wysłany z zadaniem uratowania twojej siostry i wybadania sytuacji. To najlepszy agent, jakiego mamy aktualnie do dyspozycji. Jedyny umiejący dokonywać przeskoków i gotowy do walki z nieznanym wrogiem, który więzi 100krotnie – uspokaja Al Mill.

– To cały czas się potwierdza, naprawdę jesteś genialny – wtrąca asystent Bela Waju, Italianiec Mc Aron. – Ale już pora na naradę. Zjawili się Bel Zurwan i Bel Waju.

– Co wiemy? – rozpoczyna bez zbędnych wstępów Bel Zurwan.

– Ostatnie przekazane przez okarynę informacje są takie: w nadzorowanym świecie gwałtownie wzrosła liczba niekontrolowanych otwarc złośliwych portali. Niepokojące sygnały przekazuje również okaryna Idryss. 100krotka udała się tam, żeby wszystko sprawdzić, i wygląda na to, że została uprowadzona. To standardowy świat z życiem w okresie średniowiecza, z dużą liczbą czarnodziejów utrzymujących względny porządek. Pokonać i co dziwniejsze, uwięzić Nigdziegęstą mógł tylko ktoś o równych albo wyższych umiejętnościach! Nie zabili jej, bo byśmy ją mieli w śpiączce na Solinie.

Wysłałem tam wcześniej Zielarkę, a dzisiaj Phiatyla. Boję się jednak, że trzeba wzmocnić ten skład – odpowiada Al Mill.

– A kogo możemy jeszcze posłać?

– Anosika i Leonardo. Obydwaj już potrafią dokonywać przeskoków i nie wyobrażam sobie, kto mógłby pokonać ten cały zespół.

– To się dopiero okaże. Przecież też nie wyobrażaliśmy sobie, że ktoś może pokonać 100krotkę – zastanawia się Bel Zurwan.

– Przypomina mi to dziwnie wcześniejszą sytuację, kiedy to my dodawaliśmy swoje złośliwe portale. Teraz ktoś nam robi dokładnie to samo. Widać, że odrobił lekcje.

– Ile wiedzieli 100krotka, Zielarka i Phiatyl? – dopytuje się Bel Waju.

– Tylko tyle, ile musieli. To dla bezpieczeństwa. Anosik i Leonardo wiedzą już o ultimatum przekazanym przez okarynę 100krotki: „Zostawcie nas w spokoju, bo zniszczymy cały ten świat!”

– Mamy więc nieznanego przeciwnika, który rozpoczyna od poważnej groźby. Oczywiście nie mamy wyjścia. Musimy

podjąć walkę, bo może to rzeczywiście zrealizować w każdej chwili.

Na planecie Alekanda, Phiatyl, wychodząc ze złocistego portalu, od razu czuje, że coś jest nie tak. Uderzające pioruny wywołują ogromny hałas, ale coś innego przeszkadza Phiatylowi. Jakiś rodzaj hipnozy próbuje zdeintegrować jego umysł. Wszystkie przebyte treningi i szkolenia oraz natychmiastowa autohipnoza pozwalają mu z wirujących strzępków świadomości pośladać chwilowo tylko niepełny obraz własnej osoby.

Nazywam się Phiatyl i jestem Nigdziegęstym – cokolwiek to znaczy. A musi to być coś ważnego.

Gdzieś kołacze się w jego głowie krzyk, żeby ratować umiejętności. Kładzie się na trawie, odpręża i każe wszystkim komórkom swojego ciała zachować jak najwięcej informacji. Czuje się tak zrelaksowany, że zapada w krótką drzemkę, z której budzi go dźwięk jakiegoś instrumentu. Niezmiernie zdziwiony wyciąga z kieszeni okarynę, która pogwizduje cichutko.

No, coś jednak pamiętam. Tylko Al Mill daje okaryny na drogę.

Okaryna mruczy wyraźnie zadowolona. Phiatyl wstaje i przeciera oczy ze zdumienia. Przed nim stoi najdziwniejsza rogata postać, jaką kiedykolwiek widział.

– Jestem Moloch. Widzę, że nigdy nie widziałeś demona. Zastanawiam się, czy cię nie spalić?

Phiatyl traktuje go energią z ręki, ale nie uchodzi jego uwadze ogromne zdziwienie Molocha, widoczne na krowim pysku tuż przed jego zniknięciem.

Co to, do cholery, było?

Phiatyl idzie łąką w kierunku dymu snującego się w oddali. Chociaż wydawało się, że to niedaleko, droga zajmuje mu sporo czasu. Okolica sprawia wrażenie zupełnie wymarłej, bo nawet ptaków jest tu wyjątkowo mało. Gdy ostatecznie dochodzi już wystarczająco blisko, widzi ludzi palących trawę, a w oddali niechętnie cofające się przed płomieniami ogromne mrówki ogniowe. Jest zdziwiony, a nawet przestraszony ich rozmiarami, bo podnosząc się na tylnych odnóżach, dorównują wzrostem człowiekowi, a masą na pewno go przewyższają. Przygląda się im z zafascynowaniem, nim dociera do niego, że kilkanaście pędzi w jego kierunku.

Przecież mrówki nie atakują ludzi?!

Biegnie co sił w nogach w kierunku ognia, ale pierwsze mrówki są coraz bliżej. Nagle spada na nie grad strzał siejących ogromne spustoszenie. Phiatyl w lekko płonącym ubraniu dociera do ludzi, którzy rozstępują się przed nim z szacunkiem.

– Witam cię, czarnodzieju – uprzejmie odzywa się przystrojony w ptasie pióra i rzemyki wysoki mężczyzna, jakąś mokrą szmatą gaszący na nim resztki ognia. – Zwą mnie Festin i jestem wodzem tego plemienia.

– Szczerze dziękuję za uratowanie życia. Nigdy nie widziałem takich ogromnych mrówek. Do tego z metalowym opancerzeniem.

– Przecież jako czarnodziej mogłeś się uratować ucieczką zielonym portalem. A w ogóle to chyba nie jesteś tutejszy?

– Miałem bolesny uraz głowy, wskutek którego moje umiejętności nie są już takie jak dawniej – wymiguje się Phiatyl.

– Zapraszamy na małe przyjęcie. A te mrówki, jak mówisz, tutaj nazywamy mrówami. No to idziemy – kończy powitalne ceregiele wódz Festin.

Na środku małego placu, pośród namiotów zrobionych z jakichś gałęzi i ptasich piór, pali się ogień pod zawieszonym na łańcuchach olbrzymim kotłem. Wszyscy ciemnoskórzy mają pióropusze i ciała poprzebijane w różnych miejscach zaostrzonymi pędami jakiejś rośliny. Kobiety dodatkowo przystroiły się naszyjnikami z kwiatów. Gościowi podano posiłek z kurczaka i mocny alkohol, którego pochodzenia Phiatyl nie potrafił zidentyfikować. Zabawa się rozkręca i na początek tańczą wojownicy, z wprawą wymachujący długimi dzidami. Gdy czarnodziej spotyka się wzrokiem z siedzącym naprzeciwko mężczyzną, ten kiwa na niego ręką i wygląda, że chce mu coś powiedzieć. Phiatyl siada blisko, ale musi uważać na nagłe ruchy głową tego wojownika: ma on fantazyjnie przebite policzki i nos, za pomocą równoległych, dość długich kijków.

– Nie możesz trochę skrócić tych ozdób? – pyta grzecznie Phiatyl.

– Im dłuższe, tym lepsze – odpowiada ten trochę naburmuszony.

– No cóż. Słyszałem inną wersję, ale nie chciałem cię urazić – próbuje załagodzić sytuację.

– Musieliśmy uciekać z wioski, bo załała nas fala błota po ulewnych deszczach. Teraz wędrujemy na południe, ale nie wiemy, co tam nas spotka. Podobno tamte tereny okupują czambuły montarskie. Dolinę musimy ominąć szerokim

łukiem, bo jest wyjątkowo niebezpieczna. Gdybyś się do nas przyłączył, może potrafiłbyś nas obronić. Widzisz, nasz wódz jest za dumny, żeby cię o to prosić. Ja tu jestem szamanem. Ale co będziemy gadać po próżnicy. Wypijmy kolejkę – zachęca.

Udekorowany szaman klaszcze i natychmiast zjawia się dziewczyna z dwoma pucharami. Gdy je osuszają, Phiatoryłowi już lekko szumi w głowie.

Tymczasem na środek wybiega następna grupa, składająca się z samego kwiatu plemienia. Młode dziewczęta, przyozdobione tylko wiankami, tańczą zmysłowo w takt bębnów i piszczałek, do których przyłączają się wesołe dźwięki okaryny. Szaman podchwytuje zachwycone spojrzenie Phiatoryła i lekko kiwa głową czekającemu spokojnie wodzowi.

Phiatorył budzi się rano i ze zdziwieniem przygląda się czterem usługującym mu dziewczynom.

Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Ale pigułki gwałtu na pewno nie musieli mi podsuwać.

Obóz zwijany jest zadziwiająco szybko i niedługo są już w drodze. Nagle otwiera się przed nimi zielony portal i wychodzi z niego mała grupa dziwnych czarnodziejów. Torując sobie drogę wśród otaczających Phiatoryła wojowników, podchodzą do niego bez wahania.

– Słyszeliśmy o piorunach i złocistym portalu. Zjawiliśmy się najszybciej, jak to było możliwe. Ja jestem Deseń – przedstawia się wyglądający na przywódcę wysoki mężczyzna. – To Szelma, Kuglarka, Tawir i Zielarka.

– A ja jestem Phiatorył – przedstawia się Nigdziegęsty.

Podchodzi do całej grupy i kolejno podaje im rękę.
Przecież przybyłem tu z misją, jak mogłem zapomnieć.

– Przybyłem tutaj z misją ratowania naszej agentki 100krotki, uwięzionej na tej planecie. Ci, którzy zechcą, mogą udać się ze mną na ratunek. Wiem, że jeszcze żyje i zamierzam jej pomóc. Więzi ją król Solenopsis.

– Nic nie wiesz o tutejszym świecie, Phiatylu. To, jak okiem sięgnąć, jest Mroczna Dolina. Grasują tu specjalnie hodowane mrówy i brutalne czambuły najemnika Mara Soldata. W wysokich górach, przy mieście Vortnoks, jest forteca czarnodzieja, króla Solenopsisa. To on włada całą tą dużą doliną i górami. Przy pomocy ordy z Ołumu emira Aztuchbeja napada, grabi i plądruje przygraniczne tereny kalifatu Amanu i cesarstwa Chipangu. Ostatnio wynajęte przez niego w Hamirze statki przewiozły wojska ordy aż pod granicę z królestwem Mugao-Kai, również tam rozpoczynając grabieżę. Z wykupu jasyru z tych wszystkich terenów gromadzi prawdziwą fortunę. Bezpośredni atak na najemników w Mrocznej Dolinie jest niemożliwy, bo mają w skórze feromon, który powoduje, że mrówy ich nie atakują. Dla wszystkich innych stworzeń są agresywne i niepokonane. Tępią wszystko w okolicy gór i zamku. Taka garstka nie może z nimi walczyć! – stanowczo stwierdza Deseń.

Phiatyl nie może mu nic odpowiedzieć, bo nagle wokół rozpętuje się piekło. Zewsząd lecą strzały i Nigdziegęsty ze zdziwieniem zauważa próbującą go zasłonić Zielarkę, która z przestrzelonym ramieniem pada na ziemię. Jego samego strzała trafia w nogę, co powoduje, że też się przewraca. Widzi,

jak zielonymi portalami znikają jego niedoszli partnerzy. Nie słyszy nawet krzyków zabijanych ludzi i przygląda się wszystkiemu coraz bardziej nieobecnym wzrokiem.

Ta strzała musiała być zatruta.

W ostatniej chwili dostrzega leżącą daleko kobietę i ledwo udaje mu się dokonać przeskoku w jej ciało. Nowymi oczyma widzi rzeź plemienia i śmierć swoich wczorajszych gospodarzy. Z życiem uchodzą tylko jeńcy: zakuwani w kajdany wojownicy i kobiety. Duża grupa otaczająca wodza Festina broni się jednak skutecznie, strzelając z łuków i rzucając dzidami. Walki ustają, bo jak się okazuje, napadu dokonał zwiad czambułów, a nie regularna armia. Ponieważ zwiad ponosi duże straty, dowódca nakazuje odwrót. Gdy Phiatyl chce się poruszyć, ze zgrozą zauważa strzałę w swojej nodze. Na następny przeskok i otwarcie zielonego portalu nie ma już sił. Zanim zabierają go z pola bitwy, Phiatyl patrzy po drodze w puste oczy szamana, leżącego z wystającymi z piersi strzałami.

Wieczorem wszystkie nowe niewolnice są myte i stają przed dowódcą Marem Soldatem. Phiatyla muszę podtrzymywać strażnicy. Dowódca przygląda się im badawczo i każe dwu wystąpić, wskazując na nową postać Phiatyla i jeszcze jedną niewolnicę.

Podchodzi do Nigdziegęstego i zauważa:

– Wyglądasz na czarnodziejkę – potem zwraca się do drugiej kobiety: – I ty też.

Phiatyl ze zdziwieniem rozpoznaje Zielarkę.

– Jak się nazywasz? – to pytanie znowu do Phiatyla, który przezornie milczy.

Stojący za dowódcą strażnik uderza go silnie w twarz.

– Co ty wyprawiasz?! Solenopsis chce je żywe i w dobrym stanie. I rzeczywiście będą. Dać im po dzbanuszkę nalewki, to zaraz ozdrowieją. Potem przyprowadzić obie do mnie do namiotu – decyduje Mar Soldat.

Raz na wozie. Raz nawozem.

Rano Phiatyla, który nie może spać i ciągle układa w głowie swoją czarną listę, na której niepodzielnie króluje jego bardzo dobry już teraz znajomy Mar Soldat, szturcha koleżanka niedoli.

– Mnie zatruta strzała nic nie zrobiła, bo byłam przygotowana i od razu łyknęłam odtrutkę. Ale portalu już nie mogłam otworzyć. Teraz wracam do sił, więc niedługo uciekniemy. A ty, po aurze widzę, że jesteś czarnodziejką, też nie zdążyłaś otworzyć? – mówiąc to, Zielarka jednocześnie podaje Phiatylowi swoją miksturę.

– Właśnie, nie zdążyłam.... Ich konnica wpadła tak szybko. Czy po miksturze powinno mi być lepiej?

– Powinna ci pomóc po kilku chwilach.

– Jednak czuję, że nie pomaga. Jest coraz gorzej. Może to ta wczorajsza nalewka zmieszana z trucizną tak mnie powala?

Phiatyl nie może się nawet już poruszać. Czarnodziejka jest tym wyraźnie zaniepokojona.

– Dodałam też zioła usuwające toksyny, więc niedługo powinnaś być zdrowa. Wtedy uciekniemy.

Do namiotu wchodzi Mar Soldat ze swoim adiutantem Sukursem.

– Jak tam humorki dzisiaj? – pyta z lubieżnym uśmiechem.

– Kurwa mać! – Phiatyl aż cały dygoce ze złości. – Ty popieprzony zboczeńcu!

Wszyscy włącznie z Zielarką są niepomierzenie zdumieni tym wybuchem, ale nagle wypadki zaczynają rozgrywać się z niewiarygodną szybkością. Nowe ciało Phiatyla wygina się w łuk i opada bezwładnie, a adiutant Sukurs nagle wyciąga sztylet i podrzyna gardło swojemu dowódcy.

– Teraz już możemy uciekać – mówi Sukurs do zdezorowanej Zielarki, która próbuje połapać się w tej dziwnej sytuacji. Dopiero po dłuższej chwili rozumie, czego dokonała niepozorna czarnodzięjka. Dotychczas tylko słyszała o takich możliwościach.

Pomogła mi okaryna, którą Sukurs trzymał w kieszeni. Musiał ją znaleźć przy moim ciele i zabrać z pola bitwy.

Oboje zaciągają ciało Mara do wielkiej skrzyni i starannie zamykają, przykrywając ją jeszcze sporym dywanikiem. Wcześniej wyciągają ze skrzyni jakieś papiery i Phiatyl bierze kilka z nich. Jeden jest podpisany in blanco przez Mara Soldata. Jest też dokument z prośbą o udzielanie okazicielowi wszelkiej pomocy, podpisany i opatrzony pieczęcią przez króla Solenopsisa. Gdy mają już wychodzić, intuicja każe Phiatylowi przyjrzeć się jeszcze raz swemu poprzedniemu opakowaniu. Leżąca dziewczyna oddycha równo i wygląda, że nic jej nie dolega. Ale coś cały czas niepokoi Phiatyla. Okaryna cichym gwizdem potwierdza jego obawy.

– Musimy ją jednak zabrać. Duża część mojej świadomości tam została.

Zielarka jest wyraźnie zaskoczona, bo nigdy wcześniej nie widziała przeskoku, nie mówiąc już o pozostawieniu części

świadomości w innym umyśle. Postanawia jednak niczemu się nie dziwić i wykonywać wszystkie polecenia „Sukursa”. Czarnodziej szybko pozbywa się munduru i zakłada jakieś znalezione w namiocie cywilne ubrania Mara. Na szczęście pasują.

– Spokojnie wychodzimy. Będę prowadził cię na łańcuchu, żeby nikt się nie dziwił. Do pomocy w ciągnięciu noszy weźmiemy jeszcze jakąś niewolnicę. Jak tylko wydostaniemy się poza obóz, otwieramy zielony portal i dajemy dyla.

Phiatyl wybiera ładną niewolnicę Gutanę, której uroda może się jeszcze przydać. Nie niepokojeni przez nikogo opuszczają obóz czambułu i Zielarka otwiera zielony portal. Próba otwarcia portalu przez Phiatyła kończy się niepowodzeniem. Gutana z szeroko otwartymi oczami przypatruje się wszystkiemu, ale na razie niczego nie komentuje.

– Przenosimy się w miejsce, w którym, jak sądzę, będziemy bezpieczni przez jakiś czas. Tam też zastanowimy się, co robić dalej – oświadcza Zielarka. – Wiesz, że otwieranie portalu bez zagrożenia życia jest związane ze znacznym osłabieniem czarnodzieja. Następny będę mogła otworzyć dopiero po kilku dniach.

– Trudno. Otwieraj!

Wychodzą z portalu na skraju ogromnej polany, przez nikogo niezauważeni. Ludzie tłoczą się wokół, oglądając walki niewolników. Jeden ze spotkanych wartowników prowadzi ich do Kolonosa, przywódcy największego z obecnych tu plemion. Wódz siedzi na środku namiotu w postawie pełnej arogancji i pewności siebie, jakby nie zdawał sobie sprawy z chaosu panującego wokół i niebezpieczeństwa, które w każdej chwili może im grozić ze strony mrów i czambułów.

Jest to potężny mężczyzna, ma wielkie ramiona i duży brzuch. Podobnie jak pierwsi gospodarze Phiatyła, Kolonos ma skórę poprzebijaną w różnych miejscach długimi kawałkami roślin. Ten sterczący w nosie jest tak duży, że czarnodziej zastanawia się, jak wódz może kręcić głową.

Chyba to jest powodem jego bezruchu.

– Czego tutaj chcecie? – obcesowo pyta wódz.

– Ledwo uciekliśmy przed mrówami i czambułami – odpowiada Phiatyl. – Teraz chcemy znaleźć miejsce, w którym będziemy bezpieczni. Możemy pomóc wam bronić się przed zagrożeniem. Na własne oczy widziałem, że ogniska mogą odstraszać mrówy, a w czambułach walczą zwykli ludzie, których można pokonać. Gdybyśmy wspólnie stawili im czoła...

– Z nikim nie będziemy walczyć! – warczy wódz.

– Jesteś pewien, że to dobra decyzja, wodzu? – pyta Phiatyl, zastanawiając się, co jest jej powodem.

– Wszyscy, którzy próbowali z nimi wojować, zginęli albo dostali się do niewoli: w tym mój głupi brat Jelitus, który wcześniej był wodzem naszego plemienia. Przez jego bezsensowny upór większość wojowników zginęła. Gdyby nie ja i kilka innych trzeźwo myślących osób, nikt by nie ocalał. Jeżeli więc nie masz jakichś innych rad pod ręką, czarnodzieju, to dobrze by było, żebyś opuścił ten obóz.

Phiatylowi przychodzi do głowy, że gdyby był sprawny, mógłby dokonać przeskoku i poprowadzić plemiona do waliki. Z drugiej strony, nie jest gotowy do życia z tyłoma dziurami w całym ciele. Ponieważ strażnicy grzecznie, ale stanowczo wypychają już ich z namiotu, nie odzywa się i wychodzą.

Rodzice obu braci chyba nie przepadali za medykami.

Phiatyl próbuje rozmawiać z wodzami innych plemion, ale nikt nie chce przeciwstawić się Kolonosowi. Niestety, większość z nich to kolaboranci i tchórze, którzy wolą spokojnie ukrywać się tutaj, niż zrobić cokolwiek, żeby odeprzeć napastników.

Siadają sobie z dala od reszty, żeby znowu się narodzić. Zielarka oświadcza:

– Na początek muszę ci powiedzieć, że tutaj nasze drogi się rozchodzą. Ja mam inne zadania i jak tylko już będę w stanie, to otwieram portal i wracam do poszukiwań czarnodzieja Phiatyla, który albo zginął, albo został porwany do zamku.

To zadziwiający, że ona mnie nie rozpoznała. To chyba działanie tej hipnozy, która i mnie męczyła po przybyciu. Czarnodziejka powinna mnie rozpoznać chociażby po oczach i sposobie chodzenia, których to cech nie zmienia żaden portal.

Po dłuższym milczeniu Nigdziegęsty wyjawia:

– Już nie musisz nigdzie szukać. Ja jestem Phiatyl. Wcześniej, gdy ranili mnie zatrutą strzałą, dokonałem przeskoku do Chi-pangaski i nie mogłem się już wydostać.

– Uff, kamień spadł mi z serca. Chodziło mi po głowie, że nie możesz być zwykłą czarnodziejką, ale tego się nie spodziewałam! Al Mill przysłał mnie tu wcześniej, żebym rozpoznała sytuację. Ja też jestem Nigdziegęstą, ale przeskoków jeszcze nigdy nie widziałam.

– Nie wszyscy mamy jednakowe umiejętności – dyplomatycznie zauważa Phiatyl. – Musimy zdobyć jak najwięcej

informacji o zamku, mrówach i czambułach. Tych ostatnich przynajmniej chwilowo pozbawiliśmy dowództwa. Musimy dostać się do zamku i poznać tutejszą sytuację. Ale od teraz dla wszystkich jestem czarnodziejem Sukursem.

Kiedy razem z Zielarką zastanawiają się, jakie podjąć kroki, na obrzeżach obozu otwiera się kolejny zielony portal. Wychodzi z niego Deseń i pozostali czarnodzieje, którzy ostatnio uciekli, zostawiając Phiatylą i Zielarkę na pastwę czambułu.

– Nie zdradz im, kim jestem – szepce prędko Phiatyl do Zielarki. – Pamiętaj, jestem Sukurs i tylko tak się do mnie odzywaj.

– Na szczęście udało ci się przeżyć – zaczyna niezręcznie Deseń, witając się z czarnodziejką.

– Nie dzięki tobie – półgłosem zauważa Zielarka. Deseń patrzy na nią zdziwiony.

– Ja jestem Sukurs – wtrąca szybko czarnodziej, żeby nie doszło do spięcia, w którym dziewczyna mogłaby zdradzić się jako Nigdziegęsta.

Niech na razie udaje zwykłą czarnodziejkę.

– Najpilniejszą bieżącą potrzebą jest zbudowanie jakiegoś szałasów albo coś w ten deseń. O, przepraszam – kończy Sukurs.

Cała grupa przynosi z lasu gałęzie i wspólnie stawiają dość solidną budowlę nieco oddaloną od innych. Chociaż dyskutują przy ognisku niemal do rana, nie udaje im się niczego ustalić. Deseń, przywódca pozostałych czarnodziejów, mimo że wydaje się odważny, nie chce mieszać się w otwartą walkę. Uważa, że na razie lepiej będzie się przycziąć i obserwować rozwój wypadków z daleka, nie angażując się w otwarty konflikt. Zresztą,

kim mieliby dowodzić? Grupą dzikusów? Sukurs natomiast nie ma zamiaru spędzić w tym świecie ani dnia dłużej, niż będzie to niezbędnie konieczne. Według niego plan Desenia oznaczałby, że spędzi tu z Zielarką nawet jeszcze kilka lat. I chociaż wie, że w świecie zewnętrznym upłynie znacznie mniej czasu, nie ma ochoty na takie postępowanie. Ma przecież misję do wykonania. Deseń i inni w końcu idą spać, niezadowoleni z całym odmiennym zdania Sukursa.

Czarnodziej nie może zasnąć i zastanawia się, jak to wszystko dalej rozegrać. W promieniach wschodzącego słońca po raz pierwszy widzi swoje nowe odbicie – ma grube, ciemne brwi, wydatny nos i dość duże usta, jedynie oczy wyrażają jego dawną tożsamość.

Telepatycznie łączy się z mieszkającymi w rzece rybami. Dowiaduje się od nich, że rzeka, zanim wpada do dużego jeziora, płynie przez bardzo niebezpieczną okolicę, po drodze mijając pas pustyni. Na brzegach często pojawiają się olbrzymie mrówy.

Sukurs odwraca się, żeby wrócić do szałasu i spostrzega palące się na piasku zielone koło, z którego wynurza się duża dżdżownica.

– Witam. Jestem szefową UPS na tym obszarze. Nazywam się Śliska. Szef FED-CORVUSU prosił, żebyśmy się z tobą skontaktowała.

– Przecież jesteście konkurencją...

– Tak. Ale tutaj współpracujemy jako Underground Parcel Service.

– A dlaczego nie działają tu kruki z FED-CORVUSU?

– Działają poza pustynią. Tak jest bezpieczniej. Nam łatwiej jest o pożywienie w tej części świata.

Na pewno nie będę pytał, czym się odżywiacie.

– W takim razie od razu poproszę cię o przysługę. Będę potrzebował planu fortecy Solenopsisa. I wolałbym spotykać się z tobą tylko w cztery... – przygląda się dokładniej Śliskiej – w ściśle określonej liczbie oczu nas obojga.

Nigdziegęsty wraca do obozu i rano postanawia wykorzystać zdobyte od ryb informacje. Zaczyna wypytywać napotkane osoby o umiejętność budowania statków. W końcu znajduje jedno plemię, które w dawnych, lepszych czasach zajmowało się rybołówstwem. Ich wódz, Thuiguhut, nie chce jednak słyszeć o budowie łodzi. A przynajmniej nie za darmo. Po długich negocjacjach postanawiają, że piękna niewolnica Gutana trafi do haremu Thuiguhuta, podczas gdy jego plemię odda Sukursowi sześciu swoich niewolników. Najpierw zajmą się budową łodzi, a później będą stanowić jej załogę.

Jak można było się domyślać, Zielarka nie podziela optymizmu Phiatyla dotyczącego pomyślnego zakończenia negocjacji.

– Chcesz powiedzieć, że gdy ty będziesz budował łódź, ona w tym czasie będzie seks-zabawką jakiegoś wodza plemienia bez nazwy?!

– Wódz uznał, że jest jedyną wartościową rzeczą, jaką posiadam.

Sukurs niedługo przekonuje się, że nazwanie pięknej niewolnicy rzeczą, choćby nie wiadomo jak wartościową, nie polepszyło jej nastroju. Po burzliwej dyskusji dziewczyna zgadza się na układ i prosi tylko, by w noc wypłynięcia porwał ją z haremu i zabrał na dalszą wyprawę.

W swoje plany nie wtajemniczają pozostałych czarnodziejów. Sukurs uważa, że sami sobie poradzą. Grupa pod dowództwem Desenia nic mu nie pomoże.

Po tygodniu duża łódź jest gotowa do drogi. Gutana realizuje w tym czasie przygotowany z Zielarką plan. Dosypuje co wieczór wodzowi przygotowaną mieszankę ziół do trunków. Podawana Thuiguhutowi mikstura przez pięć nocy skutecznie hamuje jego zamiary. Jednak szóstego wieczoru wódz, który najwyraźniej zdążył się uodpornić na działanie ziół, nie zasypia zaraz po kolacji i Gutana doświadcza jego niechcianych zalotów. Dlatego też ostatniej, siódmej nocy dziewczyna po prostu dosypuje mu znacznie więcej mieszanki, tak, że mężczyzna po wypiciu przygotowanej nalewki pada głową na stół.

Gutana wychodzi z namiotu i woła strażnika, który tej nocy pilnuje wejścia do haremu.

– Szybko, Thuiguhut chyba nie żyje – mówi i ciągnie mężczyznę za sobą do namiotu, zanim ten ma czas wezwać kogoś na pomoc. Strażnik pochyla się nad wodzem i zanim może powiedzieć „oddycha”, kobieta uderza go w tył głowy wielką, drewnianą maską, która wisiała na jednej ze ścian jako ozdoba. Strażnik zwała się na ziemię, a dziewczyna niezauważona przez nikogo wydostaje się z obozu.

Sukurs, który jest wtajemniczony w jej plany nie czeka do rana, aż Thuiguhut podniesie alarm, tylko wypływa z załogą jeszcze w środku nocy. Budzi swoich wiosłarzy i mimo sprzeciwów, wydaje rozkaz odbicia od brzegu.

W pośpiechu i ciszy wypływają w daleki rejs, zatrzymując się jedynie na krótko, żeby zabrać na pokład Gutanę. Pożądliwe spojrzenia, którymi załoganci obrzucają skąpo ubraną

dziewczynę, powodują, że Sukurs każe jej natychmiast przenieść się do budki.

Zielarka z lekką obawą opisuje plan ich podróży:

– Początek rzeki stanowi mały strumyk wypływający z górzystej okolicy. Górny bieg różni się zasadniczo od środkowego i dolnego. W swoim początkowym odcinku rzeka przepływa przez ciąg małych jezior, w większości otoczonych lasami. Odcinki rzeki łączące jeziora są krótkie i dają się w miarę bezpiecznie pokonać. Nurt jest wystarczająco głęboki i niezbyt szybki, prawie nie ma przeszkód. To, co nas czeka, to jednoznaczne meandrowanie przez sosnowe lasy, gdzie brzegi bywają na przemian płaskie oraz wysokie i strome, a nurt często tarasują zatory ze zwalonych drzew. Z uwagi na ilość przeszkód i liczne zakola spływ jest co prawda łatwy, ale żmudny i monotony. Dalej wypływamy na nieznanne tereny piaszczyste. Prawie nikt nie próbuje dalszego spływu.

Płyną już drugi dzień. Sukurs siedzi z Zielarką na brzegu łodzi i moczy sobie nogi.

– Z wodą pitną nie mamy problemu, ale niewielkie zapasy, które byliśmy w stanie zabrać, powoli się kończą. Problemem jest też słońce – głośno myśli Sukurs.

Rzeczywiście, niewielka budka znajdująca się na łodzi daje tylko tyle cienia, żeby pomieścić dwie osoby, Chipangaskę i opiekującą się nią niewolnicę. Cała załoga oraz Sukurs i Zielarka muszą prażyć się w bezlitosnych promieniach słońca, ratując się prowizorycznymi nakryciami głów. Mimo że łódź płynie szybko z prądem, na brzegach ciągle nie widać żadnych oznak ludzkiego życia. Jedyna wioska, jaką mijają, jest wymarła i niemal zrównana z ziemią.

Trzeciego dnia Sukurs musi zezwolić na postój – z daleka widzą niską roślinność, co daje im nadzieję na znalezienie jakiegoś jedzenia. Ostatnie porcje, które wydawał, były bardzo niewielkie i po spojrzaniach marynarzy widzi, że wybuch buntu jest tylko kwestią czasu. Mężczyznom nie podoba się także obecność kobiet na pokładzie. Powszechnie wiadomo, że to przynosi pecha.

Schodzą z łodzi i ruszają w kierunku zarośli. Mniej więcej w połowie drogi rozpoznają ślady mrów zastygłe w glinie. Sukurs przygląda im się uważnie i mówi pewnym siebie głosem:

– Przechodziły tędy sześć dni temu.

Dzieli się też z Zielarką spostrzeżeniem, że mrówki były same, bez czambułu, bo nie widać nigdzie śladów ludzkich stóp ani końskich kopyt.

– To pewnie z oszczędności – zauważa młoda kobieta. – W tym wyludnionym miejscu nie byłoby wystarczająco dużo pożywienia dla wszystkich ludzi. A mrówki same sobie poradzą z małymi wioskami.

Ich cel – zielone tereny – wydaje się nadal tak odległy, że Sukurs zaczyna poważnie obawiać się, czy to wszystko nie jest tylko fatamorganą. W końcu jednak udaje im się dotrzeć do celu. Na obszarze może kilkuset metrów kwadratowych rośnie wiele drzew, kilkanaście kaktusów i kilka sztuk rośliny, która wygląda jak bardzo wysoka i potężna trawa.

Bez rozkazu wioślarze rozpierzchają się i zaczynają kopać pod olbrzymimi źdźbłami. Po krótkiej chwili ładują do swoich koszy soczyste, grube bulwy. Sądząc po ich uśmiechach, jest to prawdziwy pustynny przysmak.

Powoli zaczyna robić się ciemno i nagle Sukurs czuje się bardzo nieswojo. W następnej sekundzie na zieloną polanę

wbiega naraz kilkanaście mrów. Wioślarze porzucają w popłochu zbierane przed chwilą jedzenie i rzucają się do bezładnej ucieczki. Część mrów rusza za nimi w pogoń. Sukurs nie ma czasu patrzeć, co się z nimi dzieje, ale sądzi po pełnych niewypowiedzianego przerażenia krzykach, że żadnemu nie udaje się dobiec z powrotem do łodzi. Zielarka łapie go za rękę i ciągnie w przeciwnym kierunku. Ale zanim mogą odbiec wystarczająco daleko, kilka owadów zastawia im drogę. Instynktownie Zielarka chowa się za czarnodziejem, ale jednocześnie szybko otwiera zielony portal. I wtedy dzieje się coś niezwykłego. Mrówki przyglądają się im z daleka przez chwilę, niepokojąco ruszając swoimi czułkami. Wreszcie odwracają się i odchodzą w kierunku swoich towarzyszek.

– Sukursie – szepce ucieszona kobieta – one oceniły, że jesteś z czambułu.

– Przecież mam w skórze feromon. Ale ciebie też nie zaatakowały, bo byłaś w nocy ze mną całkiem blisko.

Rzeczywiście, mrówki zupełnie już nie przejmują się dwójką ludzi. Na wszelki wypadek Sukurs każe trzymać się Zielarce blisko siebie. Wracają jednak nad rzekę dopiero, kiedy zwierzęta znikają z ich pola widzenia. Po drodze zatrzymują się, aby pozbierać do koszy rozsypane bulwy.

Zastanawiają się, czy uda się im dalej żeglować bez wioślarzy, dodatkowo jeszcze opiekując się nieprzytomną Chipangaską. Ciągną ciężkie kosze ze zdobytym pożywieniem do brzegu.

– Nie ma naszej łodzi! – krzyczy Zielarka, która pierwsza dociera do miejsca cumowania.

– Być może, widząc nadbiegające mrówki, Gutana przytomnie odbiła od brzegu – uspokaja Sukurs. – Bierzemy tylko po jednym koszu bulw i przenosimy się kawałek w górę rzeki, skoro już możesz otwierać portal.

Widać, że Zielarka doskonale opanowała sztukę poruszania się zielonymi portalami, bo wychodzą tuż przed miejscem, gdzie rzeka się rozwidła. Sukurs szykuje prowizoryczny bosak, żeby zaczepić i przyciągnąć łódź. Jeśli wybrali zły brzeg, nie będą mogli już nic zrobić, bo Zielarka znowu przez kilka dni nie będzie w stanie otworzyć portalu.

Szkoda, że portale nie są precyzyjne, bo moglibyśmy od razu wylądować na łodzi. Ale moglibyśmy też nie trafić i wylądować w głębokiej wodzie.

Po jakimś czasie widzą nadpływającą łódź z Gutaną na pokładzie. Dziewczyna nieźle radzi sobie ze sterowaniem i już po chwili czarnodzieje bezpiecznie dostają się na pokład. Odbijają od brzegu i cały dzień płyną z prądem. Zielarka stale wlewa Chipangasce do ust jakieś mikstury, żeby utrzymać ją przy życiu. Pod wieczór dobijają do brzegu.

Miejsce okazuje się małym miastem przedzielonym rwącą rzeką. Wychodzą w tej części miasta, w której na brzegu tłoczą się tysiące uchodźców. Uciekając przed mrówkami ogniowymi i czambułami, ludzie ci musieli opuścić swoje rodzinne wioski i teraz wegetują w strasznych warunkach nad wodą. Sukurs przygląda się opuszczonej części miasta za rzeką i widzi mały zagon Montarów patrolujący okolicę.

To tu przebiega granica!

Wrzawa jest ogromna, jednak tłum stopniowo milknie na widok czarnodziejów przechodzących przez zielony portal i na dodatek wynoszących jeszcze kogoś na noszach. Oni zupełnie się tym nie przejmują i oddalają się spokojnie. Wkrótce hałas powraca do poprzedniego poziomu. Dochodzą do bramy, ale nie mają żadnych problemów z wejściem do miasta, gdyż strażnicy rozpoznają czarnodziejów.

Pierwsza napotkana gospoda urzeka ich czystością, więc wstępują na posiłek i załatwiają sobie nocleg. Opłacają też opiekę nad nieprzytomną Chipangaską. Po smakowitym posiłku wysyłają Gutanę na górę do pokoju, a sami przystępują do narady. Wychodzi im, że muszą poznać oficjalne stanowisko władz tego królestwa.

Właściciel gospody za odpowiednią opłatą zawozi Sukursa i Zielarkę na audiencję, udzielając po drodze wielu informacji o cesarstwie Hamiru, w którym aktualnie przebywają. We trójkę wchodzi do komnaty, gdzie na podwyższeniu, niczym król, siedzi markiz Desade w otoczeniu wianuszka kobiet. Wysoki i przystojny mężczyzna wyjątkowo długo przygląda się Zielarce.

– Witamy, szanowny markizie. Nie chcemy zajmować twojego cennego czasu, w związku z czym od razu przejdę do rzeczy. Jaką politykę prowadzi wasze cesarstwo wobec władcy Mrocznej Doliny? – pyta Sukurs.

– Nasz król przyznał pełną autonomię Dolinie i dodatkowo zezwalamy na prowadzenie jasyru zdobytego przez ordy przez nasze tereny. Tutaj przy rzece rozdziela nas kilkudziesięciokilometrowy pas kamiennie-piaszczystej pustyni. Jest to po obu stronach rzeki ziemia niczyja. Zamieszkują ją niebezpieczne

plemiona, żyjące często w podziemnych grotach lub wśród wysokich skał. Nasze wojska tam nie wchodzą. Za dużo pułapek, węży i skorpionów. Karawany z niewolnikami przechodzą przez nasze miasto albo drogą wiodącą po drugiej stronie pustyni. Z przechodzących tędy karawan zawsze można podebrać coś wyjątkowego – markiz rozejrzał się z dumą po swoim wianuszk.

Po powrocie do gospody Sukurs myśli o dalszych działaniach.

– Nie możemy otworzyć portalu, a droga okrężna do kalifatu Amanu odpada. Popłyniemy więc łodzią. Co o tym myślisz, Zielarko?

– Chyba musimy zaryzykować. Postarajmy się zdobyć sojuszników, bo sami nie możemy walczyć z tak potężnym przeciwnikiem. Ale to wszystko jutro. Dziś mamy wspólny pokój – czarnodziejka uśmiechnęła się zachęcająco.

Rano oboje Nigdziegęści wybierają się na przystań i kupują sporą łódź. Teraz pozostaje jeszcze skompletować załogę. Sukurs kupuje czterech niewolników. Wybiera wysokich, zręcznych i potrafiących władać mieczem i łukiem mężczyzn, takich, którzy prawdopodobnie byli wojownikami przed dostaniem się w niewolę. Gdy zwraca im wolność, wszyscy przysięgają mu wierną służbę.

Wdzięczny za szczodre wynagrodzenie właściciel gospody sam przygotowuje zapasy na drogę, nie zapominając o beczce tutejszego wybornego wina. Dostarcza również broń i alchemiczne lampy. Sukurs nie ma pojęcia, jak udało się w tak krótkim czasie zamówić i uszyć pięć czerwono-czarnych mundurów, w tym jeden dla niego z licznymi złoceniami.